



Tydzień Ekumeniczny w Koszalinie



tekst

**KAROLINA
PAWŁOWSKA**

redaktor wydania

Świadkowie Jehowy to doskonale przeszkoleni specjaliści od sprzedaży bezpośredniej.

O tyle niebezpieczni, że ich towarem jest doktryna. Wiedzą, jak i komu sprzedać swoją „receptę na zbawienie”. Jak to się dzieje, że w kraju, gdzie ponad 90 proc. mieszkańców deklaruje się jako katolicy, osiągają niezłe wyniki „handlowe”?

To nasza ignorancja i brak zainteresowania w to, co wierzymy. Bohater artykułu na str. IV-V mówi krótko: słaba znajomość prawd wiary to woda na młyn dla głosicieli nowych idei.

- Przygotowując do służby, mówiłem, że katolicy nawet jak mają Pismo Święte czy Katechizm Kościoła Katolickiego, to go nie czytają. A bardzo chętnie dyskutują na temat Kościoła, życia księży - opowiada.

- W swoim środowisku nie spotkałem ani jednego katolika, który by przeczytał chociaż raz Pismo Święte. Takich ludzi poznałem dopiero niedawno, ale też nie jest ich wielu - dodaje. Powszednie nam Msza św., tracimy z oczu misterium. Dla mnie spotkanie z panem Andrzejem było impulsem do rachunku sumienia i pytania o własne świadectwo. A dla Państwa? Zapraszam do lektury.

- Duch Święty czyni nas uczestnikami jednego ciała Chrystusa - przypominał bp Paweł Cieślík podczas Mszy św. inaugurującej modlitwy o jedność chrześcijan w koszalińskiej katedrze.

Jedność tak trudna do zrealizowania w tym świecie może być jedynie owocem działania mocy, która nie jest z tego świata - dodał hierarcha. Zaznaczył, że jedynie otwarcie na działanie Ducha Świętego i życie zgodne z Ewangelią mogą przyczynić się do zniesienia podziałów między chrześcijanami. - Uczynmy swoje życie świadectwem Ewangelii na co dzień. Niekoniecznie musimy być bohaterami, wystarczy miłość, radość i pokój, by przez nasze życie, jak przez krysz-

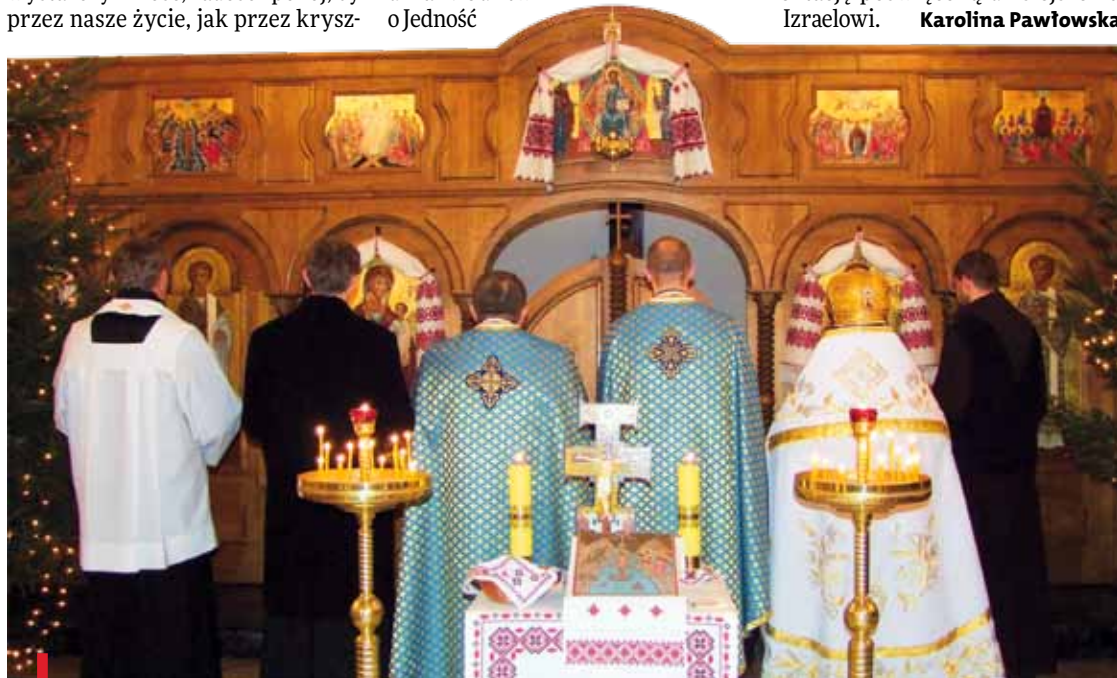
tałową taflę, świat zobaczył Boga. Niech nas uzdolni Duch do takiej modlitwy o jedność, do nawrócenia serca i podjęcia dzieła ewangelizacji - zaapelował.

Ks. Sebastian Niedźwiedziński z Kościoła ewangelicko-metodystycznego, przewodniczący koszalińskiego oddziału Polskiej Rady Ekumenicznej przypomina, że ekumenizm to nie tylko działalność na rzecz pojednania chrześcijan, ale i próba wzajemnego zrozumienia. - Chcę poznawać nie tylko swoją tradycję religijną, moją konfesję, ale i inne wyznania chrześcijańskie, inne religie, a nawet ateizm. Nie dlatego, że chcę zmienić moją wiarę - wiem, kim jestem i jestem za to Bogu wdzięcznym - ale by poznać innych ludzi, ich przekonania, zwłaszcza tych, którzy żyją wokół mnie. Kiedy człowiek jest mocno związany ze swoim Kościołem, to poznanie innych ubogaca i umacnia jego wiarę - mówi duchowny.

W przeddzień rozpoczęcia Tygodnia Modlitwy o Jedność

Chrześcijan w Koszalinie oo. franciszkanie zaprosili także na spotkanie modlitewne z okazji Dnia Judaizmu. - To spotkanie modlitewno-formacyjne połączone z refleksją nad naszymi korzeniami, nad dziedzictwem Izraela - wyjaśnia o. Janusz Jędryszek, gospodarz parafii pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. - Potrzeba tego dnia, by katolicy odkrywali organiczną więź łączącą ich z Żydami. Skoro Pan Jezus jest Żydem, Matka Boża - Żydówką, jak mogę odrzucać ten naród? Jako zakonnik codziennie rano błogosławię Boga Izraela w kantyku Zachariasza, modlitwą całego Kościoła są psalmy. Jestem więc z judaizmem organicznie złączony jako chrześcijanin, czerpię z niego.

Spotkanie modlitewne poprzedziła Msza św., w której wierni modlili się o szacunek i pokój dla narodu izraelskiego. Potem do wspólnej modlitwy psalmami i do wysłuchania koncertu pieśni żydowskich zaprosił zespół Shomer pod kierunkiem prof. Moniki Zytke, która przygotowała także prezentację poświęconą dzisiejszemu Izraelowi. **Karolina Pawłowska**



W wałeckiej cerkwi greckokatolickiej po polsku i ukraińsku odśpiewano akatystę ku czci Bogurodzicy

Żołnierska krew



Oddawanie krwi do przyjemności nie należy, ale żołnierze są gotowi do poświęceń

USTKA. Ponad 12 litrów krwi oddali elewi służby przygotowawczej do Narodowych Sił Zbrojnych. 17 stycznia odbyła się już czwarta tego typu akcja zorganizowana

w podusteckim Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej. Marynarze odpowiedzieli na apel słupskiego Regionalnego Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa. Zain-

teresowanie było ogromne. Niektórzy oddali krew po raz pierwszy. – Trochę się boję, ale chęć pomocy jest silniejsza niż strach – wyznał jeden z elewów. Żołnierze chwalili komfortowe warunki – nowoczesny mobilny punkt wyposażony jest w wygodne, sterowane elektronicznie fotele. Oprócz satysfakcji, elewi mogli również liczyć na ekwiwalent w postaci czekolad, a także zwolnienie z zajęć w dniu, w którym oddawali krew. Specjaliści od krwiodawstwa często goszczą w koszarach CSMW i nigdy nie wyjeżdżają z pustymi rękami. – Podczas trzech ostatnich edycji 94 marynarzy oddało łącznie 42 litry krwi – mówi kmdr ppor. Robert Biernarczyk, oficer prasowy jednostki.

Jacek Cegła

Świąteczna nadzieja

POŁCZYŃ-ZDRÓJ. Choć okres Bożego Narodzenia już za nami, trwa jeszcze „sezon jasełkowy”. Swoją przegład kolędników zorganizowały także połczyńskie maluchy. W przygotowaniach pomogły im salezjanki. Niepubliczne Przedszkole prowadzone przez siostry zaprosiło do zaprezentowania swoich przedstawień ponad stu przedszkolaków oraz dzieci z grupy teatralnej działającej w oratorium ss. salezjanek. Najmłodszy zaprezentowali swoje jasełka przed publicznością, wśród której oprócz rodziców byli m.in. burmistrz Barbara Nowak, samorządowcy i przedstawiciele oświa-

ty. W tym roku małym twórcom przyświecało hasło „Rozpalmy świąteczną nadzieję”. – Dzieci zostały nam, dorosłym, przesłanie, żebyśmy umieli rozpałać w sobie na nowo radość i nadzieję – opowiada s. Maria Dobosz. – Dziękujemy nauczycielom, wychowawcom i rodzicom za trud przygotowania dzieci, a dyrekcji Centrum Kultury za otwarte serca i drzwi Domu Kultury. Na koniec każde dziecko otrzymało małą niespodziankę, a rodzice z przedszkola ss. salezjanek zaprosili na dalsze wspólne świętowanie przy przygotowanym przez nich dobrym ciastku i kawie.

Karolina Pawłowska



Mali aktorzy bardzo poważnie podeszli do jasełkowego zadania

Autopsja zniewolenia

KOSZALIN. Opętania, uleganie złemu duchowi i inne zagrożenia duchowe są wciąż tematami pełnymi mitów i nieomówień. Wielu ludzi zupełnie nieświadomie otwiera się na działanie złych mocy. Jednym z nich jest Robert Tekieli – dziennikarz, publicysta, poeta. Zafascynowany ruchem New Age, tajemniczą energią, coraz głębiej wchodził w zjawisko okultyzmu. „Żyłem w ciężkich grzechach, myśląc, że jestem

wspaniałym człowiekiem. To było nieuchronne spądanie w dół” – wspominał ten okres życia w rozmowie z Marcinem Jakimowiczem. O tym, co zbliżyło go do demonów i jak udało mu się przed nimi uciec, Robert Tekieli opowie w czasie spotkania w koszalińskim kościele Podwyższenia Krzyża Świętego. Franciszkanie zapraszają na nie 6 lutego o 15.00. – Pomysł na spotkanie z panem Robertem zrodził się podczas tegorocznej

kolędy. W wielu domach na honorowych miejscach wciąż stoją słoniki z trąbkami do góry, centralne miejsca zajmują też podobizny Buddy. Wielu ludzi nawet nie zdaje sobie sprawy, że wchodzi w obszar działania złego ducha. Dlatego wciąż powinniśmy rozmawiać na temat duchowego zniewolenia, bo o zagrożeniach wiemy wciąż za mało – tłumaczy o. Piotr Okrój, organizator spotkania.

Julia Markowska

W Polsce po latach



Po długiej nieobecności w Polsce Irena Jarocka zaśpiewała dla mieszkańców Piły

PIŁA. Od wielu lat mieszka w Stanach Zjednoczonych, ale zatęskniła za Polską. Na razie Irena Jarocka wróciła do kraju, by promować swoją najnowszą płytę „Małe rzeczy”. Skorzystali z tego organizatorzy koncertu świąteczno-noworocznego w piłskiej kolegiacie i zaprosili piosenkarkę do Piły.

– Ogromnie się cieszymy, że możemy dziś gościć ikonę polskiej piosenki – mówił ks. Stanisław Oracz, proboszcz parafii pw. NMP Wspomożenia Wiernych w Pile. W kolegiacie piosenkarka zaśpiewała nie tylko kolędy i pastorałki, ale także, ku uciesze piłskiej publiczności, swoje największe utwory jak: „Motylem jestem”, „Kawiarenki” czy „Wymyśliłam Cię”. Po koncercie nie znikła za kulisami, ale wyszła do publiczności, długo rozmawiała i rozdawała autografy.

Krzysztof Dęga

GOŚĆ KOSZALIŃSKO-KOŁOBRZESKI

koszalin@gosciemiedzielny.pl

ADRES REDAKCJI: 75-256 Koszalin
ul. Stoczniovców 11-13

TELEFON (94) 341 03 14

REDAGUJĄ: ks. Dariusz Jaślarz

– dyrektor oddziału,

Julia Markowska, Karolina Pawłowska

Jeszcze w tym roku zostanie postawiony **pomnik poświęcony dzieciom**, które urodziły się martwe albo zostały utracone w wyniku poronienia.

Koszalin upamiętni Dzieci Utracone

Godnie pożegnamy maluszki

O dbyło się już pierwsze spotkanie komitetu, który podjął się tego zadania. W jego skład wchodzi m.in. przedstawiciele kurii, władz miejskich oraz dziennikarze z redakcji TVP, radia Plus i tygodnika „Gość Niedzielny”.

Miejsce pamięci

Patronat honorowy nad budową pomnika objęli biskup diecezjalny Edward Dajczak, prezydent Koszalina Piotr Jedliński, przewodniczący Rady Miasta Koszalin Władysław Husejko oraz Urszula Mikietyńska, lekarz pediatra i radna miejska.

Inicjatorzy przedsięwzięcia chcą stworzyć pomnik-symbol dla wszystkich, którzy utracili przedwcześnie dzieci. Zamierzają także pogrzebać dzieci, których szczątki nadal znajdują się w koszalińskim szpitalu, oraz stworzyć procedury, mające w przyszłości ułatwić pochówek dzieci martwo narodzonych.

Swoją radość i wdzięczność za wspólne podjęcie się tak ważnej inicjatywy wyraził obecny na pierwszym spotkaniu organizacyjnym bp Paweł Cieślak. – Wiele tysięcy matek wciąż przeżywa dramat utraty dziecka w okresie ciąży lub w trakcie porodu. Niestety, jest jeszcze sporo miejsc, gdzie osieroceni rodzice spotykają się z niezrozumieniem lub na dramat spuszczana jest zasłona milczenia. W ubiegłym roku została wydana w naszej diecezji specjalna instrukcja dotycząca pogrzebu dzieci zmarłych w wyniku poronień i wcześniejszych porodów, która wychodzi naprzeciw tej wielkiej sprawie rodziców przeżywających śmierć dziecka.

Potrzeba nam wszystkim kształtowania świadomości, że dzieci martwo narodzone mają prawo do godnego pogrzebu – mówił biskup.

Jednym z pomysłodawców przedsięwzięcia jest ks. Henryk Romanik, kapelan sanktuarium Matki Bożej Trzykróć Przedziwnej na Górze Chełmskiej. Tam 15 października, w dniu Dziecka Utraconego, spotykają się rodziny, które przeżyły stratę dziecka.

– Przed uroczystościami Wszystkich Świętych i Dnia Zadusznego razem z dziennikarzami lokalnych mediów rozmawialiśmy o sposobie przeżywania i upamiętniania naszych zmarłych. W pewnym momencie pojawiło się pytanie: „A co z tymi dziećmi?”. Z tego pytania i szerokiej dyskusji zrodził się pomysł pomnika-grobu, czegoś, co mogłoby umożliwić przeżywanie straty, ale także leczenie rany żałoby – wyjaśnia ks. Romanik.

Procedury konieczne potrzebne

Za pomysłem stworzenia symbolicznego miejsca pamięci dla rodziców, którzy stracili dziecko, idzie również przygotowanie pochówku dla martwo urodzonych płodów. Są one często w różnych stadiach rozwoju, rodzice z różnych przyczyn nie odebrali ich ze szpitali. Aby rozwiązać ten problem, trzeba się zmierzyć ze szpitalną i administracyjną barierą urzędniczą. Przepisy, które umożliwiają pochówek dziecka niezależnie od tego, w jakiej fazie ciąży doszło do zgonu, obowiązują dopiero od czterech lat. Wielu rodziców nie wie jednak, że mają prawo do godnego pochówku swojego dziecka.

O tym, że trzeba rozwiązać ten problem, przekonuje Renata Jankowska, zastępca kierownika zakładu patomorfologii Szpitala Wojewódzkiego w Koszalinie. – Wyskrobiny z poronień zbieramy od kilkunastu lat. Z nich nie można nawet ustalić płci dziecka. Przechowujemy również płody, które

nie spełniają wymagań urzędowych potrzebnych do przeprowadzenia pochówku. Zajmują już trzy czwarte dużego pomieszczenia – mówi Renata Jankowska.

Pomoc władz Koszalina w wybudowaniu pomnika oraz wypracowaniu procedur pochówku dzieci martwo urodzonych nawet w bardzo wczesnej fazie ciąży zadeklarował zastępca prezydenta Koszalina Przemysław Krzyżanowski. – Występowaliśmy o opinię w tej sprawie m.in. do minister Ewy Kopacz. A Szpital Wojewódzki pismem z 7 grudnia 2010 roku poinformował nas, że ma już niezbędną dokumentację, która jest wymagana przy pochówku dzieci martwo urodzonych – mówi prezydent Krzyżanowski.

Pomoc techniczną i organizacyjną zapewnił także Tomasz Uciński, prezes Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej w Koszalinie. – Wiemy już, jak to zostało przeprowadzone w innych miastach. Tymi wzorcami na podstawie obowiązującego prawa będziemy się kierować – zapewnia.

Karolina Pawłowska

KAROLINA PAWŁOWSKA



Komitet budowy pomnika tworzą m.in. przedstawiciele władz kościelnych, samorządowych, przedsiębiorstw i instytucji oraz dziennikarze

Akwizytorzy jedy

ŚWIADKOWIE JEHOWY. Zwykle scenariusz jest ten sam. Dzwonek do drzwi i ciepło uśmiechnięta dwójka ludzi. „**Dzień dobry. Czy zastanawiała się pani...?**”

– to standardowe zagajenie. Są świetnie wyszkoleni, jak domokrażcy. Dobrze wiedzą, jak i gdzie sprzedać swoją receptę na szczęście.

tekst i zdjęcie

KAROLINA PAWŁOWSKA

kpawlowska@goscniedzielny.pl

Kłopoty, samotność, wątpliwanie lub poszukiwanie sensu życia – wszystko to otwiera drzwi Świadkom Jehowy.

Faza pierwsza: namierzenie

Są szkoleni w błyskawicznym odszukiwaniu osób najłabszych, potrzebujących wsparcia. Andrzej był doskonałym obiektem. Właśnie rozpadało się jego małżeństwo. – Próbowałem topić smutki w alkoholu, ale ile można? Nowi przyjaciele pomogli mi doprowadzić do rozwodu. Podesłali adwokata, oczywiście też Świadka Jehowy – wspomina mężczyzna. – Doskonale wyczuli moment. Wyglądało na to, że to jedyni ludzie, którzy są w stanie mi pomóc.

To pierwsza faza – bombardowanie miłością. Najlepiej sprawdza się u ludzi samotnych, zagubionych. Dlatego Świadkowie Jehowy wkładają do skrzynek na listy swoje broszury, krążą od mieszkania do mieszkania. – Wystarczy, że pierwszy raz wejdą do domu, zadają bardzo proste pytania, na które człowiek odpowiada automatycznie – wyjaśnia Andrzej. – Gdyby powiedzieli, że będę musiał chodzić trzy razy w tygodniu na zebrania, jeździć na kongresy, chodzić od domu do domu, to niewiele osób chciałoby z nimi rozmawiać. Ale urabianie zaczyna się zupełnie od czego innego.

Doskonale wie, o czym mówi. Kiedy był starszym zboru, sam szkolił ludzi, co i jak robić, żeby dobrze sprzedać swój towar. Jedyłą książką, którą sobie zostawił, jest podręcznik – instruktaż do zagajania rozmowy. – Tu jest wszystko. Wstęp do rozmowy na każdą okoliczność – śmieje się mężczyzna. – Śmierć w rodzinie, trudności życiowe, chętnie wykorzystywano krytyczne wypowiedzi z gazet czy z telewizji dotyczące Kościoła katolickiego. Wstępów dotyczących miłości Boga jest niewiele i zwykle od tego żaden Świadek rozmowy nie zacznie. O kataklizmach ludzie chętniej rozmawiają.

Sprzedaż bezpośrednia

Na każdym etapie wszystko jest przygotowane. Jest książka dla głosicieli, jest też książka wyłącznie dla starszych zboru. – To nie głoszenie, ale werbowanie. Najpierw maksymalnie często się takiego człowieka odwiedza, urabia się go, żeby doszedł do jednego słusznego wniosku, że tylko w tej organizacji jest prawda i zbawienie – mówi Anka, która „otarła się” o Świadków Jehowy. – Głosi-

ciele tak są przeszkoleni, że dopóki ich się stanowczo nie pożegna, tak długo nie odpuszczają.

Dla niej ciągnęło się przez dwa lata. To, co początkowo było zabawne, interesujące, z czasem stało się męczącym nękaniem. – Byłam pod wrażeniem swobody, z jaką poruszali się po Biblii, argumentacji, jakiej używali, żeby wykazać błędy doktryny katolickiej. Nawet nie zastanawiałam się, czy to, co mówią, ma sens – przyznaje dwudziestoparolatka. Do zastanowienia nad przynoszonymi ze spotkań rewelacjami skłoniła ją koleżan-

ka. – Na szczęście odkryłam, że to bzdury, zanim na dobre wsiąklam i dałam się ochrzcić – dodaje.

Słaba znajomość prawd wyznawanej wiary to woda na młyn dla głosicieli. – Wpuszczając Świadków Jehowy do domu, musimy wiedzieć, że jest to osoba, która będzie prowadzić rozmowę na swoich zasadach i na swoich warunkach. On ma do sprzedania towar i wie, jak to skutecznie zrobić. To świetni akwizytorzy doktryny.

Nie mamy żadnych szans na sprzedanie swoich racji – mówi ks. dr hab. Janusz Bujak, wykładowca dogmatyki w koszalińskim WSD, zajmujący się w diecezji także problemem sekt.

Świadkowie Jehowy bardzo umiejętnie podsuwają proste odpowiedzi i z takim przekonaniem, że pozostaje w nie tylko uwierzyć. Twierdzą, że wszystkie rozwiązania znajdują się w Biblii w ich przekładzie. Ale nade wszystko wślizgują się w życie swoich ofiar, są stale obecni.

Andrzej w organizacji poznał swoją drugą żonę.



Andrzej nadal czyta Pismo Święte i szuka odpowiedzi na nurtujące go pytania, tyle że teraz bardziej krytycznie

niego zbawienia

– Po pracy często nawet nie zdążyłem zjeść obiadu. Do domu wracałem o 23.00. Odwiedzanie głosicieli, planowanie służby polowej (głoszenia po domach), dbanie o Salę Królestwa, prowadzenie dokumentacji i notatek. Raz na pół roku raporty, jak często na tym terenie się głosi, ile jest odwiedzin, ile literatury się rozprowadza. A wszystko to przecież na chwytę Boga, Jehowy. Człowiek działa jak automat i jest zadowolony. Bo cokolwiek zrobisz, ktoś podejdzie i pochwali, jak dobrze wywiązujesz się ze swoich obowiązków. Zapomina się o wszystkim, o rodzinie też – opowiada.

Brooklyn, spółka bez odpowiedzialności

Naczelnym organem, wydającym wszelkie publikacje Towarzystwa Świadków Jehowy, jak w Polsce nazywa się organizacja, jest ciało kierownicze znajdujące się w Brooklynie. – Gdyby pani zapytała, z ilu członków składa się ciało kierownicze, żaden ze Świadków nie odpowie pani na to pytanie, bo po prostu nie wie. Nigdzie, w żadnej książce, w żadnej gazecie, na żadnej ulotce nie ma ani jednego podpisu – Andrzej nie kryje oburzenia.

Świadkowie nie poszukują i nie dociekają na własną rękę. Niewiele też wiedzą poza tym, co się im serwuje. Urobiony Świadek nie powinien się dziwić, że nagle zaczyna się nauczać odwrotnie niż dotychczas. Nie zwraca uwagi na sprzeczności. Przyjmuje wszystko, co „bracia w Brooklynie”, postanowili. – „Widzę, że pani jest bardzo dociekliwa, ale pani serce jest daleko od Boga. Będę się za panią modlić”. To najlepsza odpowiedź na niewygodne pytania. Wiem, bo sam jej uczyłem – wspomina Andrzej.

Kiedy zmienia się nauka, mówi się, że „przyszło nowe światło”. – Potem ogromnym nakładem finansowym drukuje się te same książki, ale już z nową wersją nauki.

A jak ktoś się za bardzo dopytywał o te nieścisłości, to przychodzili do niego starsi i pytali: „czy wierzysz w ciało kierownicze”? Nie w Boga, nie w Pismo Święte, ale właśnie w „niewolnika wiernego i roztropnego”, jak określa siebie ciało kierownicze – dodaje. Niewierzących szybko usuwa się ze zboru.

Dla Andrzeja zaczęło się od przeczytanego w internecie artykułu. Potem zaczął szperać, porównywać, kupił kilka wydań Pisma Świętego. Proces dojrzewania zajął mu kilka lat. A potem przyszło kolejne „nowe światło” z Brooklynu i zmieniła się data Armagedonu. Tego było dla niego za wiele. – Najpierw zrezygnowałem z przywileju bycia starszym. Potem pomyślałem, że dlaczego by nie poświęcić chociaż połowy tego czasu, który poświęcałem organizacji, na zgłębienie nauki Kościoła katolickiego? Dlaczego akurat tego Kościoła? Może dlatego, że organizacja tak strasznie nienawidzi Nierządniczy Babilońskiej. A że jestem bohaterem, to od razu uderzyłem do kurii – opowiada ze śmiechem.

Żonie nic na początku nie powiedział. Bał się. Cała jej rodzina należy do organizacji. – Jechałem na trzecie spotkanie z ks. Bujakiem i powiedziałem, że później wrócę. Oczywiście zapytała, dokąd jądę. Przyznałem się. A ona mówi: to ja jądę z tobą.

Zaskoczyła ich wolność

Łatwo nie było. – Ile rzeczy ja musiałem tłumaczyć! U Świadków Jehowy nie ma pytania, na które nie ma odpowiedzi. Przez pół roku chyba ze sto książek z biblioteki ks. Janusza przeczytałem – opowiada. Decyzję o powrocie do Kościoła podjęli razem. – Żona miała tylko chrzest, ja chrzest i Pierwszą Komunię, a nasze córki nawet tego nie miały, nigdy w kościele nie były. Trochę batalii o to było, do wszystkich drzwi w kurii pukałem. Ale w jednym dniu młodsza córka przyjęła chrzest, a my z żoną publicznie wyznaliśmy wiarę. Bp Werno przysłał pismo z cofnięciem

ekskomuniki. I to było naprawdę piękne. I pięknie było, kiedy dwa lata temu starsza córka przyjęła sakramenty w wigilię paschalną w katedrze z rąk bp. Dajczaka – wspomina. Dla żony pana Andrzeja nie jest to jednak łatwy temat. Chociaż z organizacji wyszli cztery lata temu, rozmawiać o przeszłości nie chce. Na chwilę zagląda do pokoju i szybko się wycofuje. – Ja byłem w organizacji przez 20 lat, żona – od dziecka. To trudne, zwłaszcza kiedy spotykamy dawnych przyjaciół. Ci, którzy odpowiadają „dzień dobry”, podejrzewam, że też już odeszli. Bo ci prawdziwi Świadkowie w życiu by się nie ukłonili. Kuzyn mojej żony odwraca głowę. Kobieta, której poświęciłem mnóstwo czasu, przechodzi na drugą stronę ulicy. Za rozmowę z nami grozi wykluczenie – wyjaśnia mechanizmy strachu Andrzeja.

Obydwoje odkrywają, czym jest Kościół. Należą do Kręgu Rodzin, jeżdżą na rekolekcje. W organizacji nie ma relacji, nie ma modlitwy, liczy się organizacja i Słowo Boże czytane pod jej dyktando. – Ludzie często myślą, że katolicyzm to niedzielna Msza św. i już. I że nie ma żadnej możliwości rozwoju. Można żyć w Kościele i z Kościołem. I jest tyle możliwości, taka dowolność realizowania siebie – opowiadają.

Ignorancja niezawiniona

W diecezji nikt nie prowadzi statystyk dotyczących Świadków Jehowy. – Największą popularnością cieszą się w mniejszych miejscowościach, zwłaszcza w pasie nadmorskim. To wynik wykorzenia ludzi, którzy tu przybywali, słabej sieci parafii katolickich, która była tutaj w latach powojennych – wylicza ks. Janusz Bujak. – Najczęściej to poszukiwania duchowe, pragnienie kontaktu z Bogiem i nieznaną swoją wiarę. Ciągłe jest potrzeba katechizacji dorosłych, bo znaczna część deklarujących się jako katolicy albo nie chodzi do kościoła, albo nie wie, w co wierzy.

Andrzej przyznaje, że właśnie na tej ignorancji żerował. – Przygotowując do służby, mówiłem, że katolicy nawet jak mają Pismo Święte czy Katechizm Kościoła Katolickiego, to go nie czytają. A bardzo chętnie dyskutują na temat Kościoła, życia księży – opowiada. – W swoim środowisku nie spotkałem ani jednego katolika, który by przeczytał chociaż raz Pismo Święte. Takich ludzi poznałem dopiero niedawno, ale też nie jest ich wielu. Sam przeczytałem Biblię ponad 20 razy. I nadal ją studiuję.

Organizacja istnieje w Polsce wprawdzie legalnie, ale z punktu widzenia socjologicznego posiada wszystkie cechy sekty. – Manipulacja i silne podporządkowanie organizacji. Strach przed potępieniem, a nie miłość motywują do działania, poczucia winy, kiedy zaniedbuje się swoje obowiązki. Jest to także wypaczanie ksiąg świętych. Właściwie jest to organizacja ekonomiczna. W wielu krajach zarejestrowani są jako wydawnictwo. Różne sposoby nazywania organizacji także służą ukryciu prawdziwych celów, a to także cecha charakterystyczna dla sekt – podaje kolejne argumenty ks. Bujak.

Nie sposób także ustalić, ile dokonuje się konwersji. Przykład Andrzeja i jego rodziny to wyjątek. Zwykle powrót do Kościoła dokonuje się „po cichu”, choć niezgodnie z prawem. – Chcący powrócić do Kościoła nie mają często świadomości, że przyjęcie „chrztu” to akt apostazji, oficjalne wystąpienie z Kościoła, a więc i ponowne wejście do niego powinno dokonać się oficjalnie. Najczęściej wynika to z ignorancji niezawinionej – wyjaśnia ks. Bujak. – Potrzeba nie tylko szerszej informacji, że powrót do Kościoła jest możliwy, ale także stworzenia zorganizowanej formy katechizacji dla tych, którzy wyszli z organizacji. ■

Wszelką pomoc w tej chwili można uzyskać pod numerem telefonu 094 345 90 31 lub po prostu skontaktować się z kurią.

Spotkanie Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”

Dobre pomysły na nowy rok

– Mimo różnic ideologicznych możemy wiele zrobić, jeśli będziemy razem. Wzajemnego **dialogu i kompromisu musimy stale się uczyć** – mówił bp Krzysztof Zadarko do uczestników spotkania oplatkowego w Koszalinie.

Już po raz 58. na spotkaniu noworocznym spotkali się członkowie i goście Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”. W uroczystości uczestniczyli ks. bp Krzysztof Zadarko, Piotr Jedliński – prezydent Koszalina, Władysław Husejko – przewodniczący koszalińskiej Rady Miejskiej oraz radni. Byli też: Marek Gutowski – radca generalny i kierownik Delegatury Zachodniopomorskiego Urzędu Wojewódzkiego, ks. Sebastian Niedźwiedziński – przewodniczący Oddziału Polskiej Rady Ekumenicznej, a także przedstawiciele Centralnego Ośrodka Szkolenia Straży Granicznej, Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży i Klubu Inteligencji Katolickiej.

Spotkanie było okazją do zastanowienia się, co ważnego wydarzyło się w poprzednim roku. Ryszard Pilich, przewodniczący Rady Oddziału Okręgowego „Civitas Christiana” w Koszalinie, wspominał o wydarzeniu najważniejszym dla wszystkich Polaków. – Z powodu tragedii smoleńskiej był to dla nas rok straszny. Jako państwo i społeczeństwo nie zdaliśmy egzaminu z przeżywania narodowej żałoby. Jednocześnie w zeszłym roku wydarzyło się w kraju i w na-

szym mieście wiele dobrego, dzięki wyteżonej pracy licznych osób i instytucji. Nie mogliśmy działać bez wsparcia innych ludzi – stwierdził.

Miniony rok podsumował bp Krzysztof Zadarko. – Dla Kościoła najważniejszym wydarzeniem była beatyfikacja ks. Jerzego Popiełuszki, zamordowanego przez komunistyczne służby specjalne – mówił biskup. – Był on męczennikiem za sprawę wierności Ewangelii i stał się wielkim symbolem ludzi kochających Polskę bardziej niż własne życie.

Biskup przypomniał, że w tym roku praca Kościoła odbywa się pod hasłem „Kościół jest domem i miejscem wspólnoty”. – Będziemy szukać więzi i tego, co nas łączy, by razem działać na rzecz Koszalina – mówił bp Zadarko.

Uczestnicy oplatkowego spotkania snuli też plany na przyszłość. Oddział „Civitas Christiana” chce w tym roku wraz z innymi oddziałami zorganizować już po raz 15. Ogólnopolski Konkurs Wiedzy Biblijnej dla uczniów szkół ponadgimnazjalnych. Zgłoszenia są przyjmowane do 20 lutego br. – Zapraszamy wszystkich naszych członków i sympatyków do udziału w „Laboratorium Biblijnym”, prowadzonym przez znanego biblistę, ks. Henryka Romanika – zachęca Ryszard Pilich. – „Laboratorium” jest okazją do pogłębienia znajomości Biblii oraz formacji duchowej. Spotkania będą się odbywać raz w miesiącu i będą poświęcone tekstom św. Pawła. Najbliższe spotkanie 7 lutego o godz. 18 w koszalińskiej siedzibie oddziału Stowarzyszenia przy ul. Zwycięstwa 135. Organizatorzy proszą o zabranie ze sobą egzemplarza Pisma Świętego (wydanie V Biblii Tysiąclecia lub późniejsze).

Ewa Marczak

Blog bez piuski

Syte życie



JULIA MRKOWSKA

BP EDWARD DAJCZAK

– Ze zdziwieniem wysłuchałem informacji, że po Bożym Narodzeniu kilka milionów ton żywności wylądowało w śmietniku. Nieco później, na kolejnej Mszy świętej, czytałem tekst o tym, jak Jezus rozmnożył chleb, by nakarmić głodnych. Zdumiał tym swoich uczniów, którzy chcieli, aby Chrystus odprawił głodujących z kwitkiem. Ale Jezus odpowiedział uczniom, że „to waszą sprawą jest im dać jeść”. Może ten kontrast pomoże nam raz jeszcze skoncentrować się na człowieku, który jest głodny. Ale nie chcę mówić tylko o chlebie, bo to trochę za mało. Chcę mówić o człowieku, który potrzebuje zainteresowania, pomocy. Dlaczego? Trochę zostałem sprowokowany tymi informacjami o marnotrawstwie, ale też wieloma tekstami mejlowymi o świętach, które były syte, bo na stole było nawet za dużo chleba. Wielu ludzi pisało, że za dużo kupili, że wszystkiego było za dużo. Ale dostałem też wiele listów, że czegoś było za mało. Za mało zainteresowania, za mało serca, uśmiechu, życzliwości. Chcę Was prosić o dwie rzeczy: abyście dzielili się z tymi, z którymi można się podzielić, chlebem, bo to nieprawda, że nie ma głodnych. Ale proszę Was jeszcze o to, abyście mieli trochę poważniejsze oczy w swoich klasach, na studiach, w pracy, gdziekolwiek jesteście. Może to wygląda tak trochę jak apel, ale ten blog jest apelem. Za dużo ludzi pisze mi, że ich nikt nie zauważa. Proszę Was, otwórzcie trochę szerzej oczy i serca. To naprawdę wystarczy. Nie jesteśmy idealni, czasem nie potrafimy dobrze rozeznaczyć, komu trzeba pomóc, a kto nas trochę naciąga. Ale to nie jest takie ważne. Chodzi o to, żebyśmy czynili to, co najlepsze, i mieli tego świadomość. Zapraszam Was do takiego życia. Spróbujcie.



MARIUSZ CZAKOWSKI

Biskup Krzysztof Zadarko życzył członkom CCh, by ten rok przebiegał pod znakiem szukania tego, co łączy

Oglądaj całość: www.koszalin.opokamlodych.pl

Ludzie Kościoła

Dobrze im przy klawiszach

– Jak organista powie, że będzie, to musi być. **Trudno sobie wyobrazić niedzielne Msze albo ślub bez muzyki** – mówi Tadeusz Sopata ze Słupska, organista z 27-letnim stażem.



ZBIGNIEW MARECKI

Grają zarówno w czasie letniej spiekoty, jak i podczas mroźnych zim. Wtedy, gdy uczestniczą w kolejnych czterech Mszach, dogrzewają się elektrycznymi dmuchawami, zakładają rękawiczki bez palców.

Aniołeczku, coś ty taki smutny?

Mieczysław Gach, organista z kościoła pw. Józefa Rzemieślnika w Siemianicach, do tej pory pamięta, jak dawny proboszcz parafii w Słonowicach rozbawiał go, gdy po zimowych Mszach św. przychodził do zakrystii. – Aniołeczku, coś ty taki smutny i zmarznięty? Tobie nie może być zimno, bo w mojej parafii, Aniołeczku, są trzy gorzelnie – mówił i częstował zziębniętego organistę mocnym trunkiem, a potem odwoził go do domu.

– Lubiłem patrzeć, jak pracował organista w mojej rodzinnej wsi we Wrześcu. Zauważył to proboszcz ks. Jerzy Lier, który wysłał mnie na naukę do Jana Buraczewskiego, ówczesnego organisty w kościele Mariackim w Słupsku. To on nauczył mnie podstaw gry i liturgii mszalnej – wspomina Tadeusz Sopata, obecnie organista w parafii wojskowej św. Pawła w Słupsku.

Pochodzący z Mazowsza Mieczysław Gach swoją edukację muzyczną rozpoczął w latach 70. ubiegłego wieku w Warszawie. Lubił wówczas odwiedzać zabytkowe kościoły i słuchać gry na organach. Chodził także do katedry św. Jana,

gdzie poznał prof. Feliksa Rączkowskiego, pracownika Akademii Muzycznej w Warszawie. – To on pozwolił mi po raz pierwszy w życiu zagrać na organach w katedrze. Z wrażenia ręce mi drżały – relacjonuje. Później, już w trakcie studiów muzycznych, przez rok uczył się gry na organach. Gdy w 1978 r. został członkiem słupskiej orkiestry kameralnej, początkowo nie miał czasu, aby być organistą, ale dzisiaj nie wyobraża sobie niedzieli bez grania w kościele. – Jestem grzesznikiem, ale może dzięki pracy organisty jestem ciut lepszy i nieco bliżej Pana Boga? – zastanawia się. Gra nie tylko religijne pieśni znanych literatów i kompozytorów. Sam napisał muzykę do hymnu poświęconego patronowi parafii w Siemianicach.

W kościele bez nudy

Teraz muzycy, którzy chcą zostać organistami, kończą specjalne kursy. Także przy koszalińskiej katedrze działa szkoła organistowska. Jednym z jej absolwentów jest Ireneusz Domaros, organista parafii we Wrześcu. – Jestem mu-

Tadeuszowi Sopacie niedługo stuknie trzydziestka spędzona przy kościelnych organach

zycznym samoukiem. Dzięki kursowi zdobyłem podstawy teoretyczne i praktyczne z zakresu wiedzy muzycznej i liturgii. W trakcie jego trwania mieliśmy zajęcia z prof. Andrzejem Cwojdzimskim, a gry na organach uczyli nas prof. Bogdan Narloch i stały organista koszalińskiej katedry Waław Kubicki – opowiada pan Irek.

– Wierni nie mogą się w kościele nudzić. Trzeba powtarzać klasyczne utwory, ale wprowadzać także nowe, dostosowane do oczekiwań dzieci i młodego pokolenia – zdradza tajniki zawodu Mieczysław Gach.

Każdy z organistów rozwija repertuar na własną rękę, ale od pewnego czasu w regionie słupskim odbywają się spotkania organistów z tego terenu, w trakcie których wymieniają się doświadczeniami i wzajemnie podpatrują, bo poziom bywa różny. Tylko nieliczni są „etatowcami”. Najczęściej pracują w innym zawodzie, a dorabiają jako organisci. – Jak się okazało, że z tych pieniędzy nie da się wyżyć, zrobiłem kurs fryzjerski. Od 27 lat łączę obydwaj zawody.

Dopiero niedawno dostałem etat od biskupa połowego Wojska Polskiego – chwali się pan Tadeusz.

W tym zawodzie większość stanowią mężczyźni, ale kobiety też są. W parafii pw. św. Jana Kantego w Słupsku przez kilka lat organistą była Wioletta Wójcik, ale zrezygnowała. Zmieniła zawód i teraz wspiera kolegów tylko dorywczo. – Naprawdę trzeba mieć wyrozumiałość rodzinę, bo zwykle przychodzi się z jednej pracy, je obiad i idzie do drugiej w kościele. Poza tym właściwie we wszystkie niedziele przez kilka godzin organista jest poza domem. Nie wszyscy to wytrzymują – tłumaczy Ireneusz Domaros, na co dzień pracownik Telekomunikacji Polskiej.

Efekt jest taki, że organistów brakuje. Dlatego wzajemnie się wspomagają i zastępują. Cieszą się jednak, że wśród młodych znajdują się tacy, których fascynuje gra na organach. Zbigniew Gach, jeden z synów pana Mieczysława, właśnie przygotowuje się do dyplomu z organów w olsztyńskiej Szkole Muzycznej II stopnia. Jest już także organistą w parafii oo. saletynów w Olsztynie. Zdaniem ojca, muzycznie już go prześcignął.

Zbigniew Marecki

Z Koszalina w najdalsze zakątki ziemi

Relacje z podróży blondynki

Od ponad 20 lat odwiedza najbardziej niedostępne miejsca świata. Pisze książki i nadaje relacje radiowe.
Koszalinianka Beata Pawlikowska w rodzinnym mieście opowiadała o swoich pasjach.

Kiedy dorastała w Koszalinie, spacerowała po parku i z okien 10-piętrowego bloku spoglądała w kierunku Bałtyku, marząc o dalekich wyprawach.

Numer 1: Amazonia

Dwukrotnie rozpoczynała studia, bardzo szybko je porzucając. Zapewnia, że nigdy tego nie żałowała. Bo, jak mówi, w życiu warto robić tylko to, co uważa się za najważniejsze.

Pracę dziennikarską zaczynała w Radiu Koszalin, prowadząc radiowy kurs języka angielskiego. Wyjechała do Londynu, skąd przez kilka miesięcy nadawała relacje dla radiowej Trójki. Po powrocie współpracowała z różnymi rozgłośniami, m.in. przygotowując magazyn podróżniczy „Świat według Blondynki”. Często także w telewizji dzieli się wrażeniami z wypraw.

W podróży nie rozstaje się z aparatem fotograficznym. Dźwiga nowoczesnego canona i dwa, trzy obiektywy. Utrwała niezwykle widoki. Nade wszystko pokochała Amazonię. Tam bywa groźnie. Rzeki są nieprzezroczyste, bo woda wymywa glebę. A w wodzie pływają kajmany i elektryczne węgorze. Nie brakuje też piranii. Po całonocnej wędrówce przez dżunglę człowiek jest zgrzany i spocony. Marzy o tym, by zanurzyć się w rzece. – Trzeba zaufać miejscowym, kiedy zapewniają, że można się bezpiecznie kąpać – tłumaczy Beata, dodając, że śmiertelnie niebezpiecznych sytuacji w podróży nie brakuje. – Często mam wrażenie, że już wyjdę z pułapki,



JAROSŁAW JURKIEWICZ

zarzekam się, że to już ostatni raz. Cudem wychodzę z opresji. A kiedy wracam do Polski, już myślę o nowej wyprawie. Po każdej podróży czuję się, jakbym dostała nowe życie.

Książka co dwa miesiące

Swoje wyprawy opisuje w książkach i felietonach prasowych. – Nigdy w życiu nie sądziłam, że napiszę książkę, którą ktoś będzie chciał przeczytać – zapewnia, choć pierwszą powieść, czytana potem w odcinkach w radiowej Trójce, napisała, ucząc się jeszcze w koszalińskim liceum. Podróżniczą przygodę rozpoczęła 20 lat temu. Co roku ciężko pracowała, odkładała każdy grosz, by pojechać na dwa, trzy miesiące do Ameryki Południowej albo Azji. – Oszczędzałam na jedzeniu, nie kupowałam lepszych ubrań – przyznaje podróżniczka.

O jej pasji nie wiedział prawie nikt. Ale po 8 latach wędrówek po Amazonii do tego stopnia poznała świat Indian, że postanowiła swoją wiedzę podzielić się z innymi. Tak powstała książka „Blondynka w dżungli”. Wydawca szybko zamówił kolejną. Była pierwszym polskim autorem, którego książka

ukazała się w wydawnictwie National Geographic.

Na swoim koncercie ma już ponad 20 książek. W serii „Blondynka w...” opisała już m.in. podróże po Kubie, Afryce, Tybecie. Na początku ukazywały się prawie rok po powrocie z wypraw. Tyle trwało pisanie tekstu, dobór zdjęć, przygotowanie rysunków. Postanowiła to zmienić. Chciała, by książka ukazywała się dwa miesiące po powrocie z podróży. Wydawca przyklasnął pomysłowi i zaproponował: dwie książki co dwa miesiące. Zgodziła się.

Własne doświadczenie sprawiło, że zabrała się także za pisanie podręczników do nauki języków obcych. Jej metoda nauki bazuje na intuicji i na początku budziła opór specjalistów. Ale autorskie podręczniki do nauki angielskiego i niemieckiego już są.

Podróże to życie

Kalendarz Beaty Pawlikowskiej jest szczelnie wypełniony. Przed Nowym Rokiem poleciała do Australii. Za kilka tygodni wybierze się do Kenii, w marcu odwiedzi Zanzibar, w kwietniu Peru. Zapewnia, że nie trzeba być bar-

Na spotkaniu autorskim w rodzinnym Koszalinie nie brakowało fanów Beaty Pawlikowskiej

dzo bogatym, by pozwolić sobie na podróżowanie po świecie. Spędzenie trzech tygodni w Tajlandii, Kambodży czy Wietnamie kosztuje kilkaset dolarów. A przy tym ludzie są tam przyjaźni

i w każdej chwili gotowi do pomocy. – To wymarzone miejsce dla początkujących podróżników – mówi. Poleca też Peru – kraj bardzo kolorowy, egzotyczny i niedrogi. Za niewielkie pieniądze można tam wędrować, zwiedzać i kupić ciekawe pamiątki. Trzecie miejsce na tej liście zajmuje Tanzania z bezkrwawym safari.

Dla niej prawdziwe życie to poznawanie świata. Już w szkole, w Koszalinie, pisała opowiadania o dżungli amazońskiej i marzyła o wyprawie do Meksyku, co wtedy równało się marzeniom o wyprawie w kosmos. Rysowała w zeszytach jakieś postaci, za co dostawała burę od nauczycieli. Po latach odkryła, że w niektórych jej rysunkach były motywy podobne do tych, które spotyka się u Majów i Inków. – Ta tęsknota musiała być we mnie. Spotkała mnie piękna nagroda – dodaje z uśmiechem.

Jarosław Jurkiewicz